

ANTONI FURDAL

Wrocław

Ze wspomnień. Początki moich studiów w Krakowie

Zawsze byłem zwolennikiem nauk ścisłych. W moim środowisku, w czasach, kiedy nadeszła pora wybierać drogę życiową, liczyły się tylko one. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to można nazwać wybieraniem, bo w moim ojczystym kraju zwanym wtedy Generalną Gubernią wszelkie postanowienia czyniło się warunkowo. Z zasady opatrywało się je wyraźnie deklarowaną lub niekiedy, dla dodania sobie animuszu, tylko domyslną klauzulą „jeżeli”. W połowie wojny Niemcy mieli bowiem w swych rękach niemal całą Europę i umacniali się w północnej Afryce. Wszelkie rozmowy o studiowaniu fizyki czy budownictwa były przejawem braku poczucia realizmu, tak bardzo przecież w tych naukach potrzebnego. A jednak młodzież w moich stronach, jeśli dzień minął szczęśliwie, oddawała się wieczorami pełnym naiwności dysputom, co się będzie studiować, „jeżeli...”. Czyżby to była biologiczna potrzeba optymizmu? Takie pytanie można chyba tutaj postawić. Ma ono już jednak podłoże przynajmniej częściowo humanistyczne, więc odłożmy je na później.

Nauki ścisłe, niekoniecznie w rozumieniu *dokładne, precyzyjne*, ale zgodnie ze szkolną tradycją matematyka, fizyka, chemia i biologia były w owym wojenno-okupacyjnym czasie przed wszystkimi innymi naukami, a ich przedstawiciele, którzy je w przeszłości z niebywałą inwencją przystosowywali do potrzeb człowieka, a więc uczeni lub wynalazcy z zakresu medycyny, nauk technicznych i rolnych znajdowali się w abstrakcyjnym panteonie wiedzy na pierwszym miejscu. Byliśmy przekonani, że i na naszym poziomie każdy, kto po wojnie nie odejdzie od nauk ścisłych, ukończy politechnikę, odbędzie studia lekarskie, weterynaryjne, rolniczo-leśne, stanie się w Polsce potrzebny i pożądanym. Oczywiście pod warunkiem, że tej chwili doczeka.

Wracając myślą do tamtych czasów, czuję się w obowiązku wspomnieć, że wbrew wszystkiemu los okazał się dla mnie łaskawy i niebawem, to jest we wrześ-

niu 1945 roku, udało mi się wstąpić do liceum ogólnokształcącego już na Pomorzu, w Tczewie. Oczywiście wybrałem kierunek matematyczno-przyrodniczy. Zaraz po maturze w maju 1946 roku spaliłem w kaflowym piecu podręczniki i zeszyty do języka polskiego i historii i zostałem studentem Politechniki Gdańskiej. Dwa lata później, czyli w roku 1948, wpisałem się na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Co robiłem do tego czasu, a raczej o czym myślałem, co było treścią mego ówczesnego życia, opisałem w dwóch książkach wydanych dopiero niedawno temu: *Każdy ma swego młodszego brata* (1994) i *Widziałem ich, słyszałem ich* (2010). Z pewnością jeszcze do nich wrócę, ale tutaj mam mówić o naukach humanistycznych, więc od razu do nich przechodzę. Trudno nie zacząć od tego, że definicja nauki jako całości, dalej podział nauk i ich klasyfikacja to przedsięwzięcia równie ponętne co niedające poczucia, że się udało ich zadowalająco dokonać. Mam nadzieję, że tego rodzaju odczucie jest udziałem nie tylko moim. Nie da się tutaj uniknąć różnych punktów widzenia i nie tylko różnej, lecz co gorsza pozornie tej samej, jednakże rozmaicie rozumianej terminologii. Nie mamy jednak na to rady. Jako zajmujący się językiem zdaję sobie z tego sprawę wystarczająco dobrze. Jednocześnie jednak wiem, że mam już za sobą wiele lat dyskusji na te tematy i stwierdzam, że przeżyłem je szczęśliwie. Wynika to stąd, iż język nauki, jakim posługujemy się w naszym środowisku, jest oparty na ogólnopolskim języku literackim i kontekst czy konsytuacja biorą na siebie rolę dookreślającą, która uzupełnia bądź modyfikuje abstrakcyjnie traktowane znaczenia leksykalne. Wniosek z tego jest mimo wszystko optymistyczny: mamy prawo dyskutować swobodnie, nie obawiając się, że z powodu różnic w widzeniu świata i mówieniu o nim nie będziemy się wzajemnie rozumieć.

Dlaczego porzuciłem Gdańsk dla Krakowa? Nielatwo mi to dzisiaj wyjaśnić. Ale chyba jeszcze trudniej byłoby mi to uczynić tamtego wieczora w 1948 roku, gdy po przybyciu do Krakowa po raz pierwszy oglądałem sylwetkę Zamku Wawelskiego od strony Wisły. Wtenczas jednak nie stawiałem sobie takiego pytania. Dopiero dziś wiem, iż nie zawsze wiemy, że chcemy wiedzieć. Bardzo często procesy poznawcze dokonują się w nas bez naszej świadomości, a już na pewno bez chęci, aby się dokonały. W każdym razie wtedy wystarczyło mi w zupełności, że jestem w Uniwersytecie Jagiellońskim na wydziale zwanym nadal zgodnie z tradycją humanistycznym i wolno mi chodzić na wykłady różnych filologii, historii, filozofii i co się tam jeszcze do humanistyki owego czasu liczyło. Rok później, po reformie nauczania uniwersyteckiego, byłyby już z tym pewne kłopoty, ale mój rocznik zachował jeszcze jako ostatni przywilej wolnych studiów i w powojennej zachłanności wszyscyśmy z tego korzystali, wypełniając sobie w dość chaotyczny sposób głowy, w których było sporo wolnej przestrzeni, wiadomościami, z czego się dało i co się wydawało w owych czasach ciekawe i zajmujące.

Dzisiaj, ale to dopiero dzisiaj, mogę chyba rzec, iż nauki humanistyczne po roku 1945 okazały się nie mniej bliskie życiu niż ścisłe. Właśnie wtedy bowiem

zadawano sobie na całym świecie pytanie, jak to wszystko było możliwe. Jak mogło dojść nie tylko do powszechnej europejskiej, a potem światowej wojny, ale przede wszystkim do tego, co się działo poza liniami frontowym, do czegoś takiego jak Oświęcim, a właściwie Auschwitz, Treblinka, Katyń, a na koniec także Hiroszima i Nagasaki? I jak będzie dalej — wciąż mam na myśli tamte powojenne lata — skoro zło na skalę międzynarodową nie skończyło się wraz z podpisaniem traktatów pokojowych.

Ktoś powinien był podejmować próby odpowiedzi na te pytania. Nie ulega wątpliwości, że jeśli miała to uczynić nauka, to jest to domena dyscyplin humanistycznych, które przecież zajmują się istotą ludzką w jej społecznym i duchowym rozwoju. Nikt inny w systemie uprawianych w ostatnim stuleciu nauk nie jest bliżej tej problematyki.

Z tym się chyba możemy zgodzić. Rzecz tylko w tym, w jakim stopniu humanistyka nadawała się do wypełnienia tego zadania zarówno wtedy, jak i dwadzieścia lat wcześniej, a tak samo dzisiaj. Co do tego bądźmy raczej powściągliwi. Powiedzmy na razie, że na takie sformułowanie jest może jeszcze za wcześnie. W tej chwili zadowalamy się najskromniejszym ze stwierdzeń, mianowicie że zadania, jakie stawiają przed sobą nauki humanistyczne, nie są bynajmniej dalsze od życia jak to, co jest przedmiotem nauk ścisłych i ich społecznych zastosowań.

W każdym razie wtedy, zaraz po wojnie, Kraków był wymarzonym miejscem do ich studiowania. Na UJ i do PAU wrócili już uczeni, którzy tam wykładali przed wojną, przybyło wielu innych rozproszonych po świecie. Samo miasto zaś wyglądało tak, jakby miniona niedawno wojna w ogóle go nie tknęła. Tak się złożyło, że jego piękny, wspomniany już symbol — Wawel — wypadało mi oglądać przynajmniej dwa razy dziennie z położonego u jego stóp mostu, za którym w dzielnicy Dębniki udało mi się zamieszkać. Jesienią 1948 roku wszystko wydawało mi się wreszcie uporządkowane i chyba ustalone na dłużej. Moje kłopoty z humanistyką wcale się jednak nie skończyły. Tak naprawdę to się dopiero zaczęły.

I powiedzmy sobie szczerze, trwają do dziś. Mimo upływu tylu lat od tamtego czasu, mimo ogromnego postępu w nauce, pojawienia się wielu znakomitych dzieł z teorii języka i literatury, kilkakrotnych zwrotów w metodologii historii, nowych kierunków w filozofii i socjologii, wciąż zadajemy sobie podstawowe pytania odnoszące się do nauk humanistycznych traktowanych jako całość.

Na pierwsze miejsce wysuwa się sprawa statusu naukowego humanistyki. Już sama jej nazwa w tej właśnie postaci ma odcień nieco potoczny. Oficjalnie używamy na ogół terminu nauki humanistyczne, który nie sugeruje bynajmniej ich jedności tematycznej i metodologicznej. Dla poszczególnych dyscyplin wchodzących w skład humanistyki jest to sytuacja wygodniejsza, ponieważ uważają się one na ogół za niezależne od siebie. Takiej postawie, a raczej takim postawom, z uwagi na różnorodność działalności ludzkiej i konieczności skoncentrowania się na jej różnych sferach, nic nie można zarzucić. Co więcej, wypada stwierdzić, że w dążeniu do autonomiczności nauki te przyczyniły się w znacznym stopniu do postępu badaw-

czego nie tylko na własnym gruncie, ale też w dziedzinach sąsiednich, niekiedy właśnie w całej humanistyce.

Jednym z rezultatów takich postaw jest pojawienie się — wraz z wyraźnym akcentowaniem tego faktu — ujęć interdyscyplinarnych w badaniach humanistycznych. Polega to najczęściej na tym, że zjawiska z pogranicza tematycznego różnych dziedzin poddaje się jednej analizie metodologicznej. W rzeczywistości nie jest to niczym innym, jak poszerzeniem własnego pola badawczego, swego rodzaju ekspansją na teren sąsiedni. Tylko że na ujęciach interdyscyplinarnych się nie poprzestaje. Następnym etapem są tendencje integracyjne w nauce. Niektóre dyscypliny, jak na przykład etnologia, historia, kulturoznawstwo, realizują to w postaci czegoś w rodzaju ujęć zbiorczych wielu dziedzin humanistyki, sytuując się w tej konfiguracji na pozycji centralnej. Uzasadnieniem takiej postawy jest fakt, iż ludzkie poznanie dokonuje się z konkretnych punktów widzenia, narzucających nam przez otaczającą nas rzeczywistość.

Druga sprawa, a właściwie zespół powiązanych z sobą spraw, jakie od razu musiały o sobie dać znać na początku moich studiów, to polityczne problemy ówczesności. W Krakowie znalazłem się w 1948 roku, a więc już kilka lat po wznowieniu działalności Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych instytucji naukowych i kulturalnych. Mimo że było to już po paru ostrych próbach ingerowania władz w sferę ideową społeczeństwa polskiego, takich jak stłumienie siłą w Krakowie patriotycznych obchodów 3 maja 1946, codzienne życie intelektualne biegło tam w miarę normalnie. Ogarnięci neofickim zapałem żyliśmy w trójkącie UJ — PAU — BJ (Biblioteka Jagiellońska). Każdemu wolno było się wybrać na wykłady znakomitych uczonych, m.in. Pigoń, Klemensiewicz czy Ingardena. Wykładali w sposób naturalny i niezależny od nikogo, zgodnie z tym, cośmy odnajdywali w ich dawniejszych podręcznikach i artykułach. Z poziomu studenckiego pierwszego roku wszystko wydawało się więc jeszcze w porządku. Potrzeba optymizmu w ocenie odzyskanego po wojnie świata pozwalała nam widzieć nawet wydarzenia na wrocławskim Kongresie Intelktualistów latem 1948 roku jako chwilowe, przejściowe incydenty wynikłe z rywalizacji ideowej państw biorących udział w obradach. Prawdziwe uderzenie w naszą kulturę narodową, a zatem i w naukę miało przyjść dopiero na przełomie 1948 i 1949 roku. Ocenialiśmy je już chyba właściwie, a symbolizowały je dwie daty z najnowszych dziejów Polski: 15 grudnia 1948 — początek zjazdu zjednoczeniowego PPR i PPS, czyli powstanie PZPR, oraz 20 stycznia 1949 — otwarcie zjazdu pisarzy w Szczecinie wraz z utworzeniem Związku Literatów Polskich. Potem już wszystko potoczyło się bez wątpliwości.

Nie tutaj miejsce na opis przemocy władz wobec własnego narodu i odczuć mieszkańców naszego kraju. Przecież od kilkadziesiątu lat bezustannie się tym zajmujemy i z pewnością będziemy jeszcze długo powracać myślą do tamtych dni, aby oceniać postawy ludzi wobec płynącego ze wschodu nacisku. To one są najważniejsze i za prawdziwą wiedzę o nich spoczywa na każdym z nas odpo-

wiedzialność. Dziś jednak ograniczymy się do sfery ideowej i akademickiej. Na razie więc wspomnijmy tylko, że polskie środowiska humanistyczne wychodziły na ogół obronną ręką z zaostrzającej się coraz bardziej walki z ideologią partyjną reprezentowaną przez władze. Niemniej nawet dla mojego pokolenia trudne było do zniesienia, gdy się czytało niektóre utwory literackie i słuchało młodych uczonych głoszących z przekonaniem prymitywne poglądy importowane z ZSRR. Póki nie było to z krzywdą dla innych, a więc póki nie łączyło się z donosami, utrudnianiem innym studiów, a na odpowiednim poziomie wiekowym pracy naukowej czy literackiej, a przede wszystkim usuwaniem znanych uczonych z zajmowanych stanowisk — można było jakoś wytrzymać. Pomiędzy członkami całej społeczności akademickiej, studenckiej i profesorskiej, istniało na ogół milczące, niedeklarowane wprost porozumienie, które sprawiało, że utrzymujące się w pewnym wyciszeniu poglądy tworzyły wyraźną niekwestionowaną całość i przyczyniały się do konsolidacji całego społeczeństwa. Przekroczenie granicy między tym, co było konieczne z przyczyn, nazwijmy to „obyczajowych”, a proustrojową gorliwością stawało się dla każdego członka grupy natychmiast intuicyjnie wyczuwane i widoczne było w całym środowisku.

Jesienią 1949 roku, gdy na uniwersytecie weszły w życie nowe programy studiów, a partyjna śruba ideologiczna zaczęła upodabniać do siebie komunikaty publicystyczne i naukowe z różnych dziedzin, stało się jasne, że aby na humanistyce przetrwać — nikt nie wątpił, iż chodzi tu o przetrwanie — trzeba znaleźć taką drogę, na której nie będzie się natykać na fałszywe drogowskazy. Po prostu konieczne było zdobycie w którymś z jej działów wystarczająco zasobnej wiedzy materiałowej. Powinna to być wiedza nie do podważenia. Jest ona mniej efektywna niż schematy interpretacyjne, które łatwo za kimś powtarzać, ale ona pozostaje. Nie można jej zmienić.

Z pomocą przyszedł mi świat antyczny. Krakowscy humaniści z rewerencją odnosili się do jego mądrości wciąż jeszcze obecnej w filologii klasycznej. Do skromnego z wyposażenia, lecz jakże bogatego królestwa profesorów Sinki i Ganszyńca nieraz zaglądali nieco onieśmieleni studenci z innych kierunków na wydziale humanistycznym. Słynne było seminarium młodego jeszcze doktora Mieczysława Brożka, oficjalnie zapisane jako lektorat łaciński. Można się tam było dowiedzieć wielu rzeczy podnoszących na duchu nawet w czasach stalinizmu. Chyba właśnie tam usłyszałem *Caesar non supra grammaticos*.

Wiedziałem już, czego się uczyć. Zrozumiałem też, co to znaczy, że „na początku było słowo”. Kto z moich krakowskich profesorów mógł o nim najwięcej powiedzieć? Tutaj nie było wątpliwości: Kazimierz Nitsch. Ale mój świat naukowy, do którego wchodziłem, nie składał się z samego tylko języka polskiego. Ukształtowana w ciągu XIX wieku historycznie i ewolucyjnie humanistyka wciąż nam przypominała, że tak naprawdę jesteśmy tylko częstką Słowiańszczyzny. Tę zaś reprezentował u nas, a właściwie i w kraju, słynny sławista Tadeusz Lehr-Spławiński. Trzeba było poszerzyć zakres studiów, a jednocześnie uczynić

je bardziej konkretnymi. Ich podstawową dyscypliną stało się dla mnie językoznawstwo, tematycznie — języki i literatury słowiańskie.

Zgodnie z historyczno-ewolucyjnym spojrzeniem na rozwój kulturowy ludzkości krakowska slawistyka pierwszej połowy XX wieku była ściśle powiązana z polonistyką. Wyrazem tego była struktura organizacyjna odnośnych kierunków na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wszystkie katedry wchodzące tu w rachubę były połączone w Studium Słowiańskie UJ, utworzone jeszcze przed wojną przez prof. Nitscha, a nadzorowane przez prof. Lehra-Spławińskiego. Właśnie polonistyka zajmowała tam uprzywilejowane miejsce. Każdy slawista prócz wypełnienia własnego programu był obowiązany do zaliczenia także podstawowych przedmiotów polonistycznych.

Dzięki istnieniu Studium Słowiańskiego, które dysponowało osobnym budynkiem przy ul. Gołębiej, między specjalnościami była łatwiejsza współpraca, a słuchacze mieli bez specjalnych zabiegów dostęp do wszystkich profesorów. Ten dostęp był zresztą koniecznością, bo regulamin studiów zmuszał nas do wysłuchania tygodniowo dziesięciu godzin wykładów wedle własnego wyboru. Z początku, póki istniał wydział humanistyczny, a nie filologiczny, mogły to być nawet wykłady z historii, etnografii czy filozofii. Dzięki temu nie było chyba wtedy na naszym wydziale dwóch studentów, którzy by mieli w indeksach te same nazwiska wykładowców.

Chodziło się jednak przede wszystkim słuchać znanych profesorów. Szczególnym powodzeniem cieszyły się wykłady się historyków literatury polskiej — Juliusza Kleinera, Stanisława Pigionia i Kazimierza Wyki. Największa sala Collegium Novum przy Plantach nie mogła pomieścić wszystkich chętnych. Co do Kleinera i Pigionia przypomnijmy, że zaraz po wojnie wciąż jeszcze było na pierwszym miejscu niezwykle zainteresowanie romantyzmem polskim i jego powiązaniem z innymi literaturami europejskimi, z drugiej zaś strony jego rolę w polskich dążeniach niepodległościowych. Wyka z kolei reprezentował nowsze poglądy usiłujące pogodzić dawne tradycyjne spojrzenie na literaturę z bardziej aktualnym, niejako funkcyjnym, które doceniało mniej efektowną, ale bogatą literaturę krajową, będącą ważnym czynnikiem kształtowania świadomości społecznej i narodowej. Nie brakło mu słuchaczy, bo, jak wspominałem wyżej, dla studentów, którzy naprawdę szukali na uniwersytecie wiedzy i czegoś w rodzaju pozytywizmu naukowego, Wyka był wyrazicielem nowej, najbardziej pożądanej postawy badawczej w naszych warunkach politycznych.

Mnie jednak, zgodnie z ułożonym po długich i ciężkich wątpliwościach planem studiów, bardziej interesowali językoznawcy. Osobowością przyćmiewającą innych, zarówno wiedzą jak i swoistym sposobem bycia, był profesor Kazimierz Nitsch. Był to człowiek całkowicie podporządkowany nauce, dodajmy nauce we własnym wyobrażeniu, w którym było miejsce na dyskusję, ale też istniała konieczność wyraźnych, niepodważalnych konkluzji. Dzięki takiej postawie do końca zachował stanowisko prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, a gdy zgodnie z programem naszych ówczesnych władz, które postanowiły osłabić niezależność

nauki polskiej i oprócz innych destrukcyjnych zarządzeń zlikwidowały PAU, tworząc na jej miejsce i miejsce Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Polską Akademię Nauk, został jej wiceprezesem i skutecznie czuwał nad rozwojem językoznawstwa w Polsce.

Wróćmy jednak do spraw naukowych. Nitsch był rzecznikiem opisywania języka nie tylko w oficjalnej postaci literackiej, lecz także we wszystkich rzeczywistych przejawach. Uważał, że tylko taka wiedza o języku pozwoli dojść do prawdy o człowieku, który tym językiem się posługuje. Stąd jego poparcie dla rozwijania dialektologii i badań nad językiem mówionym. Dodajmy, że nawet w okresie, gdy ja mogłem się znaleźć blisko niego, a zbliżał się już do „osiemdziesiątki”, starał się poznawać nowe metodologie lingwistyczne i zajmować wobec nich własne, często krytyczne, ale i akceptujące stanowisko.

Z innych znakomitych językoznawców owego czasu w Krakowie pragnę wymienić Witolda Taszyckiego, badacza imion własnych, także na gruncie całej Słowiańszczyzny, oraz etymologa i bułgarystę Franciszka Sławskiego. Językoznawstwo ogólne było w gestii Jerzego Kuryłowicza, wykładającego zresztą zaraz po wojnie we Wrocławiu, i Tadeusza Milewskiego. W Polsce znany był też powszechnie Zenon Klemensiewicz. Składnia, którą reprezentował, jest wspaniałą, najbardziej ścisłą dziedziną badań lingwistycznych, dla której niedoświadczony i niepotrafiący się trzymać w ryzach językoznawca może całkiem stracić głowę. Mnie się udało tego uniknąć. Niekiedy jednak, gdy pojawia się u mnie tęsknota za latami młodości, odczuwam coś w rodzaju żalu do samego siebie, że w czasie, który poświęcałem gramatyce, nie znalazło się trochę więcej składni.

Jak już nadmieniałem, filologia słowiańska lat czterdziestych łączyła się ściśle z filologią polską. Rzucające się w oczy pokrewieństwo językowe oraz prawidłowości i podobieństwa w rozwoju literatur narodowych wciąż inspirowały każdego zainteresowanego do całościowego ujmowania zjawisk, z jakimi miały do czynienia nauki filologiczne. Studia filologiczne owego czasu miały przeto bardzo wyraźny charakter komparatystyczny. Taką postawę reprezentował w lingwistyce mój mistrz prof. Tadeusz Lehr-Splawiński, do którego postaci jeszcze tutaj powrócę, w literaturze zaś prof. Tadeusz Stanisław Grabowski, uczony i dyplomata, wykładający w pierwszych latach powojennych także we Wrocławiu. Na jego zajęciach każdy musiał się zetknąć z tekstami literackimi w różnych językach słowiańskich, aby wiedzę o indywidualnym autorskim obrazie świata i dalej o kulturach narodowych Słowian oraz ich problemach społecznych czerpać wprost z oryginałów. Problematykę wschodniosłowiańską reprezentował w zakresie literatury rosyjskiej prof. Wiktor Jakubowski, językową zaś sławista i orientalista Jan Janów.

Pierwszym stopniem komparatystyki, nie tylko lingwistycznej, dla słuchaczy sławistyki było i jest częściowo tam, gdzie pozostało w programach nauczania, studium języka staro-cerkiewno-słowiańskiego. Możnaść (a dla niektórych słuchaczy konieczność) porównania dwóch pokrewnych sobie systemów językowych jest czymś niezastąpionym dla każdego polonisty, bohemisty czy rusycysty.

W czasie moich studiów w Krakowie dla językoznawców był jeszcze tzw. duży cerkiewny, z obowiązkową lekturą gramatyki Leskiena, a potem seminarium i egzamin z gramatyki porównawczej języków słowiańskich.

Muszę tutaj stwierdzić, że porównawcze studium językowe okazało się prostsze niż literackie. Relacje między zjawiskami językowymi były dla nas bardziej jednoznaczne, a problemy wzajemnych wpływów lub konwergencji stawały się łatwiejsze do uchwycenia. Literatura operowała większymi jednostkami tekstowymi. Niuanse znaczeniowe i interpretacyjne porównywanych tekstów na poziomie całych utworów lub ich dużych fragmentów budziły zawsze więcej wątpliwości.

Wybór języka i literatury, które miały być podstawą studiów slawistycznych, był naturalnie całkowicie swobodny. Można było do nich przystąpić na każdym roku studiów. Najpierw należało zdać wstępny egzamin z wiedzy o świecie słowiańskim, a niezależnie od tego wybrać lektorat, a właściwie lektoraty języków słowiańskich, bo nie można było poprzestać na jednym języku. Ku zaskoczeniu moich profesorów, a poniekąd i siebie samego, zdecydowałem się na język łużycki. Jak dobrze o tym wiedzą slawiści, ale mało kto poza nimi, jest to język słowiański, jakim mówi dziś może jeszcze kilkadziesiąt tysięcy ludzi za naszą obecną granicą na Nysie w okolicach Budziszyna. Początki literatury słowiańskiej na Łużycach sięgają XVI wieku, jej rozkwit w wersji górnołużyckiej to wiek XIX. Łużyczanie poza okresem plemiennym nigdy nie mieli samodzielności politycznej, a ich dorobek naukowy, w dużej mierze niemieckojęzyczny, ogranicza się do problematyki humanistycznej z nastawieniem na własną kulturę narodową.

Prawdę mówiąc, w swoich zainteresowaniach nie byłem całkiem odosobniony. Od czasów przedwojennych istniał w naszym kraju Akademicki Związek Przyjaciół Łużyc Prołuż. Znałem ludzi, którzy problematykę łużycką i działalność na rzecz Łużyc traktowali jako dodatkową ideę pomagającą im znaleźć się w życiu. Dzisiaj dorobek naszej nauki poświęcony Łużycom jest już naprawdę pokaźny. Jest on związany przede wszystkim z aktywną pod tym względem szkołą slawistyczną w Warszawie. Wtedy jednak, pod koniec lat czterdziestych ubiegłego wieku, byłem chyba jedynym studentem slawistyki w Polsce reprezentującym kierunek sorabistyczny. Na mojego promotora został wyznaczony prof. Witold Taszycki, u którego zdawałem przewidziane programem egzaminy. Z literaturą naukową, zwłaszcza z podręcznikami były kłopoty, to prawda, ale wtedy w naszym kraju nie było dzieżyny, żeby się miało wszystko, co potrzebne. Profesor Klemensiewicz mawiał na wykładach ze słowotwórstwa, że *obywatel* to człowiek, który musi się obywać bez wielu rzeczy. Gramatykę historyczną łużycką układałem więc sobie sam i z optymizmem patrzyłem w przyszłość.

W zakresie praktycznej wiedzy językowej łużyckiej miałem jednak wsparcie, i to wyjątkowe, bo w 1949 roku przybył do Krakowa na studia slawistyczne młody adept językoznawstwa z Łużyc Heinz Schuster-Šewc. Władze Studium Słowiańskiego UJ zaraz go wykorzystały do prowadzenia lektoratu języka łużyckiego, którego do tej pory brakowało. Z Krakowem Schuster-Šewc był związany

dłuższy czas, a po powrocie do NRD został profesorem slawistyki w Lipsku. Jest znanym i cenionym językoznawcą. Niedawno miałem przyjemność uczestniczyć jako recenzent w jego doktoracie *honoris causa* nadanym mu przez Uniwersytet Jagielloński.

Czemu wybrałem ten właśnie język słowiański, a nie któryś z tak dobrze rozwiniętych i utrwalonych w kulturze europejskiej, jak dajmy na to czeski czy bułgarski, nie mówiąc już o rosyjskim? Wydaje mi się — tak sędzę dzisiaj — uczyniłem to na fali wolności i entuzjazmu, jaki panował w Polsce zaraz po wojnie. Dziś trudno nam sobie wyobrazić przeżycia i odczucia ludzi, którym przez sześć lat odmawiano prawa do rozwijania własnej kultury narodowej, a nieraz i zwykłej egzystencji. Istniejący tak blisko nas niewielki lud słowiański, który przetrwał tysiąc lat germanizacji, nie mógł w tamtych latach nie budzić zainteresowania i podziwu. Zresztą, jeżeli nawet dzisiaj zdarzają się ludzie, którzy decydują się studiować takie języki, jak na przykład wymarłe już języki południowej Azji, to dlaczego mnie, niezależnemu studentowi w roku 1948 czy 1949 nie miałyby być wolno zająć się tak bliskim polskiemu żywym językiem, który był ewenementem na skalę światową?

A tak na marginesie, cóż to była za przyjemność na przykład odnaleźć w języku łużyckim oprócz pojedynczej i mnogiej także liczbę podwójną, którą znałem z tekstów staro-cerkiewno-słowiańskich i, co nie mniej ważne, z mojej gwary rodzinnej na Mazowszu. Za przyczyną tych i podobnych faktów zyskiwała na znaczeniu nie tylko pociągająca mnie zawsze komparatystyka, ale i nieciesząca się zbyt dużym uznaniem na przykład w wytwornym świecie języków literackich dialektologia. Skoro slawistyka i polonistyka w Krakowie stanowiły jedną sferę naukową, a prof. Nitsch organizował w ramach Polskiej Akademii Nauk szeroko zakrojone badania gwaroznawcze, postanowiłem przygotować pracę magisterską u niego z tej właśnie dziedziny. Do tej pory uważam, że pierwszym obowiązkiem kogoś, kto zajmuje się zawodowo humanistyką, jest uratowanie dla przyszłości tego, co jest w zagrożeniu. A gwary ludowe w naszym kraju w nowych warunkach cywilizacyjnych znalazły się może nie na skraju istnienia, ale stanęły wobec radykalnych przeobrażeń. Przypomnijmy, że i w naszym uniwersytecie mieliśmy znakomitych uczonych, którzy się zajmowali dialektologią, mianowicie profesorów Stanisława Bąka i Leszka Ossowskiego. Właśnie prof. Bąk podjął po 1945 roku badania nad resztkami polskich dialektów, jakie pozostały jeszcze na obszarze Dolnego Śląska.

Od właściwej slawistyki nigdy naturalnie nie odszedłem, ale poważniej mogłem się nią zająć dopiero przy doktoracie. Była to już jednak slawistyka bardziej teoretyczna, z nastawieniem na język prasłowiański. Za opiekuna naukowego, może bardziej za wzór naukowy niż opiekuna, miałem prof. Lehra-Spławińskiego.

Był to uczony wyjątkowo wszechstronny, może nawet trochę w starym stylu, bo nowsze metodologie lingwistyczne, poczynając od strukturalizmu, stawiające sobie za cel większą ścisłość opisu, zaczynały się coraz bardziej koncentrować na relacjach między faktami w obrębie jednego języka, nie mówiąc już o powiązaniach danych językoznawstwa z tym, co oferowały inne nauki. Lehr-Spławiński w swoich

pracach i oczywiście wykładach oraz licznych wystąpieniach naukowych wykorzystywał szeroko inne dyscypliny badawcze. Można by rzec, iż była to swego rodzaju komparatystyka interdyscyplinarna. Taki charakter ma wiele jego dzieł, m.in. wydana zaraz po wojnie książka *O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian* (1946), jak również inne pozycje. Wyraźnie tego typu jest jego historia języka polskiego zatytułowana *Język polski. Pochodzenie, powstanie, rozwój* (1947, wznowienie 1978).

Gdybym miał najkrócej określić prof. Lehra-Spławińskiego, rzekłbym, iż charakteryzowała go otwartość wobec nauki i świata. Jego postawa sprawiła, że był i uczniem, i działaczem społecznym w dawnym rozumieniu tego słowa. Pełnił między innymi funkcję rektora UJ w najtrudniejszych latach, to jest do listopada 1939 roku, a później po wyzwoleniu do 1946 roku. Potem też, także w okresie 1948–1956 i oczywiście później, był czynny i zawsze zaangażowany w życie uniwersyteckie. Dzięki takim ludziom jak on sławistyka polska nawet w najtrudniejszych politycznie latach zachowała tradycyjną hierarchię wartości i przyczyniła się do umocnienia naszej humanistyki.

Dodajmy na zakończenie, że gdy się przy omawianiu przeszłości powraca do okresu powojennego, widzi się przede wszystkim jego ciemne strony i nie docenia niekiedy naszego pozytywnego dorobku naukowego tych lat. W humanistyce polskiej był to czas awansu problematyki społecznej, intensywnych prac materiałowych i wielkich dyskusji. Językoznawcy, w tym poloniści i slawiści, brali udział z jednej strony na przykład w zbiorowym opracowywaniu słowników i atlasów, w tym *Ogólnosłowiańskiego atlasu językowego*, z drugiej zaś w dyskusjach nad jednym z najważniejszych problemów humanistyki, mianowicie nad relacjami jednostka–społeczeństwo, rozmaicie interpretowanymi przez różne nauki. Są to nadal ważne i wciąż od nowa podnoszone zagadnienia praw społecznych, odrębności narodowej, unifikacji świata i wielokulturowości wraz z problematyką wolności i twórczych postaw jednostki. Stały się one przedmiotem wielkiego zainteresowania właśnie w naszej dziedzinie, bo przeobrażenia społeczne i kulturowe krajów słowiańskich dokonywały się w XX wieku najbardziej intensywnie. Nie ulega wątpliwości, że współczesna slawistyka, w porównaniu z latami moich studiów ogromnie poszerzona tematycznie, nadal będzie miała w tym względzie wiele do powiedzenia.

From my memories.

The beginnings of my studies in Cracow

Summary

The author recollects his studies at the Jagiellonian University in the years 1948–1952. While doing that, he also describes Cracow linguistic circles and the possibilities of studying the humanities at that time.